



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



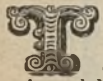
WEZWANIE.

Czyście już gotowi? chodźcie! chodźcie prędko! wzywam was!
Na skoszone łąk kobierce, złote niwy — w pole, w las!
Już się słońko na dół chyli, cienie rosną, upał spadł,
Już żniwiarze i żniwiarki ciągną sznurem do swych chat,
Słysząc śpiewy, po dniu skwarnym, odpoczynku nadszedł czas,
Czyście już gotowi? chodźcie! chodźcie ze mną, w pole, w las!

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dalszy ciąg).



aki jest w ogólnych zarysach przebieg pieczenia chleba; dobroć jego zależy od umiejętnego wykonania wszelkich zabiegów, od należytego wygniecia ciasta, dodania odpowiedniej ilości środka rozpulchniającego, należytego ogrzania pieca i t.p. Sztuka ta wymaga wprawy, ćwiczenia, tak samo jak i każda inna. Przy nieumiejętnem przyrządzaniu ciasta może się zdarzyć, że skórka odstanie w chlebie i wytworzą się pod nią zupełnie niepotrzebne puste przestrzenie, w które, wedle ludowej krakowskiej piosenki, nawet kot może się zmieścić:

Za chłopa się napierała,
Chleba upiec nie umiała:
Tak się jej pięknie wydarzył —
Po zaskórku kotek laził,
Ogonek podniósł do góry —
Jemu nie dostał do skóry.

Przysłowie jest delikatniejsze od tej piosenki, bo umieszcza w takich dziurach tylko mysz: „chleb, co myszy pod skórą łaża”.

Oprócz tego chleb źle przyrządzony i źle upieczony może być na pół surowy, zakalcowaty i t.p. Nie przynosi to naturalnie zaszczytu temu, kto go piekł. Nic więc dziwnego, że dbałe o swą sławę gospodynie nie lubią, aby im przeszkadzać w tej czynności, bo chociaż przysłowie powiada, że „najlepsze piekarzowi czasem chleb się nie uda”, zawsze jednak będzie to powód do wstydu i do drwin ze strony sąsiadów. Szczególnie zaś chodzi o to, aby dobrze się udały ciasta wielkanocne. Jedno z przysłów dawnych dosadnie maluje ten stan rozdrażnienia, w jakim znajdują się gospodynie, zajęte pieczeniem ciasta: „Nie leż babie w drogę, kiedy placki piecze: bo cię zleje wodą, aż z ciebie pociecze”.

Na wypiekanie chleba używa się mąki ze wszystkich zbóż, ale najpożywniejszy, bo zawierający najwięcej związków białkowych, otrzymuje się z mąki pszennej. Mieszają też rozmaite gatunki mąki ze sobą, dodając także między innymi mąki kartoflanej, która podnosi smak chleba, ale zmniejsza jego wartość pożywną, kartofle bowiem odznaczają się bardzo małą zawartością części pożywnych.

Dla podniesienia smaku dodają do chleba i bułki najrozmaitszych rzeczy, poczynając od anyżu, kminku, czarnuszki lub soli, którymi posypują skórki, do mleka, masła, rodzenków, cukru, rozmaitych mas lub konfitur czy innych słodczy, którymi nadziewają ciasto.

Ale gdy z jednej strony sztuka piekarska stara się dogodzić smakowi tych, którzy mając dość jedzenia i nie znając głodu, chcą obok potraw prawdziwie posilnych, mieć jeszcze i przysmaczki; z drugiej strony — biedacy, nie posiadając nawet takich środków, aby im starczyło na dostateczną ilość mąki na chleb, mieszają ją również z najrozmaitszymi rzeczami, ale nie dla dodania smaku, lecz dla oszukania samych siebie, dla pozornego powiększenia jej ilości. Dodają więc do niej żołądzi, bukwi, najrozmaitszych korzonków, ziół, ba! nawet kory drzewnej, byleby tylko móżdż wypiec więcej chlebów z tej samej ilości mąki i jeśli nie zaspokoić głód naprawdę, to przynajmniej oszukać go.

Historia nasza opisuje niejednokrotnie wypadki głodów, które następowały po nieurodzajach lub klęskach wojennych i najazdach nieprzyjaciół: ludzie wówczas, nie mając co jeść, musieli żywić się takimi chlebami, a nieraz poprzestawać nawet wprost na żołądziach, korzonkach lub ziołach.

Zdrowia taki chleb nikomu nie doda, ale że odoczy od wybredzania w jedzeniu, to więcej, jak pewna, „głód” bowiem „to najlepszy kucharz”, co „oczu nie ma”, „nie przebarszcza” (nie przebiera), jak mawiali nasi przodkowie.

II. ZBOŻA.

1. O zbożach w ogóle.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
W. Pol.

Wśród wszystkich uprawnych roślin naszego kraju, a nawet w ogóle wśród wszystkich jego płodów — zboża zajmują najpierwsze miejsce. One bowiem dostarczają najważniejszego — chleba, a dostarczają go w takiej ilości, że nietylko starczy na potrzeby własne, ale jeszcze można go wywozić zagranicę i zaopatrzyć w ten sposób sąsiadów.

Nie wszystkie nasze zboża dają mąkę jednakiej wartości, nie wszystkie są równie cenione pod tym względem, wszystkie jednakże nadają się na wyrób chleba: pieką go ludzie nietylko z żyta i pszenicy, ale także z kukurydzy, owsa, jęczmienia, prosa, a nawet tatarski, chociaż ta nie należy już właściwie do zbóż. Wszystko to zależy od tego, jaki gatunek zboża udaje się najlepiej w danej miejscowości, a który najłatwiej w danym czasie.

Zapoznawszy się z mąką i chlebem, zajmiemy się teraz dostarczycielami tego naszego powszedniego pokarmu, różnymi gatunkami zbóż. Przedewszystkiem jednakże zwrócimy uwagę na ogólne własności tych roślin, a potem dopiero przejdziemy do poszczególnych gatunków.

Zboża wraz z trawami tworzą jedną wielką rodzinę traw. Właściwie też nie różnią się one zasadniczo niczem od traw, są tylko uszlachetnionymi ich gatunkami, które pod wpływem uprawy i starań ludzkich rodzą lepsze, miększe i pożywniejsze ziarno. Jak zatem blizkie jest ich pokrewieństwo z trawami, widać z tego, że niektóre dzikie gatunki naszych roślin zbożowych rosną i teraz jeszcze na łąkach, jak trawy, ale dają drobne i nędzne ziarna. Mamy w ten sposób różne gatunki dzikiego owsa, jęczmienia a także pszenicy, której jeden gatunek — perz należy do uprzykrzonych i trudnych do wykorzystania chwastów, osiedlających się na uprawnej roli między zbożem.

Wszystkie zboża są niezmiernie podobne do siebie z ogólnej postaci i wyglądu, różnią się zaś głównie budową szych kwiatów i sposobem ułożenia ich — w kłosa, jak np. u pszenicy i żyta lub w wiechy, jak u owsa.

Żeby rozróżnić zboża przed wykłoszeniem, trzeba mieć wprawne oko rolnika, które chwyta najdelikatniejsze odcienie barw i różne inne drobne szczegóły i po nich poznaje, jakie zboże ma przed sobą.

Korzenie wszystkie zboża mają włókniste, nie zbyt głęboko osadzone w ziemi, a łodygi czyli źdźbła walcowate i dęte, to znaczy, puste wewnątrz. W pewnych odstępach widać na nich zgrubienia — kolanka czyli węzły; w kolankach tych znajdują się poprzeczne przegrody tak iż w ten sposób źdźbło składa się jakby z wielu komór, położonych jedna nad drugą.

(d. c. u.)

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Nie potrzebujesz mi tego mówić — ofuknął Bolko, usunął rękę, do której usta swoje chciał przybliżyć sługa Sieciechowy i dodał popędliwie:

— Czy pan twój wysłał cię w moje ślady, ażebyś kroki moje szpiegował?

— Czyż ja szpieguję, czy kiedykolwiek szpiegowałem waszą miłość? — jęknął przestraszony Stonóg, a był naprawdę szczerzy teraz, gdy się zarzekał solennie. — Burza mnie przysłała, nie więcej. Gdyby nie ona, byłbym już teraz blisko Trzemeszna.

Królewicz bystro spoglądał w oczy Stonoga, a że na dworze królewskim nauczył się podejrzliwości, więc i teraz wahał się, nie wiedząc, czy zausznik Sieciecha mówił prawdę, czy też udaje tylko niewiniątko. A Stonóg mówił długo i szeroko o przygotowaniach swoich w podróży, o ulewie, która go schwyciła w szczerem polu, nic jednak nie wspomniał o celu swej wędrówki.

— Nie chce mi się bardzo wierzyć temu wszystkiemu, ale mniejsza o to, powiedz mi tylko, gdzie masz konia, na którym przybyłeś oczywiście, pędząc za mną?

— Klnę się na Boga — zawołał Stonóg, bijąc się uroczyście w piersi — że ani nie pędziłem za waszą miłością, ani też nie przybyłem tutaj konno.

Gospodarz wtrącił się teraz do rozmowy.

— Rzeczywiście, ten człowiek przemoknięty, pieszo stawiał się dzisiaj u wrót moich.

— Szkoda — mruknął Bolko, zupełnie już uspokojony i dla zmylenia podejrzeń, któreby się wyrodzić mogły w umyśle Stonoga — mówił:

— Mój wierzchowiec zmęczony i nie wiem, czy dojadę do punktu zbornego, skąd właśnie urządzić mamy oblawę. A niebezpieczne łowy dzisiejsze i koń dobry przydałby mi się bardzo. Królowa-matka i Sieciech nie puściliby mnie z pewnością, gdybym im był powiedział, dokąd się udaję.

— Będą się też bardzo martwili, gdy waszej miłości nie zastaną w Trzemesznie.

— Król wie o dzisiejszej zabawie mojej — usmiechnął się Bolko — on mnie też usprawiedliwi przed matką.

— Może uprzedzić, że waszą miłość spotkałem w drodze i że nie przytrafiła się żadna przyгода? — chytrze rzucił Stonóg.

— Broń Boże! — groźnie zawołał królewicz.

Ten okrzyk naprowadził zausznika Sieciechowego na trop właściwy. Przypomniał sobie teraz, iż widział owo pożegnanie czułe, nadnaturalne z Kruszynką, i że słyszał jakieś słowa bezładne, wszystko to połączone z wyjazdem w nocy podczas burzy wydały się Stonogowi podejrzane, postanowił przeto zręcznie podpytywać, ażeby uchwycić nić, po której mogłyby dotrzeć do kłębka. Ale przyszły Krzywousty od lat dziecięcych obracający się w kole intryg Sieciechowych, lubo w młodzieńczym dopiero znajdował się wieku, bystro już patrzył na świat i ludzi, po kilku też słowach poznał zamiary Stonoga i przeczuł, że przebiegły ten człowiek stać się może niebezpiecznym.

— Ach! ten Frąc — pomyślał królewicz i wargi przyciął z gniewu. — Gdybym go miał tutaj, to poradziłbym sobie łatwo z tą przeszkodą.

Bolko stał chwilę, nie wiedząc, co począć na razie. Jechać teraz do Kruszewicy sprawa niebezpieczna, choćby bowiem dzielnego wierzchowca na śmierć zajeździł, to jeszcze nie zdąży przed Stonogiem, który wprost skieruje się ku Trzemesznu, stanąwszy przed obliczem króla-ojca. Zaniechać podróży — gorzej jeszcze, Stonóg uprzedzi Sieciecha, a wtedy zginą wszyscy; i dzielny Maćko, i Natan i Kruszynka, i Zbigniew, który przecież bądź co bądź był mu bratem i którego gorąco pragnął poznać, pokochał i zawieść przed ojca.

Królewicz wahał się ciągle jeszcze, gdy na gościńcu rozległ się tentent galopującego konia. Przeczuciem tknięty, Bolko wysunął się z sieni, przekroczył próg i podszedł do wrót, ażeby jeździec mógł go zobaczyć dobrze. Serce zabiło mu żywiej na myśl, że tym jeźdźcem nie może być nikt inny, jak tylko Frąc.

I nie omylił się syn królewski, w zbliżającym się, oko jego dojrzało wiernego sługę.

Frąc wyglądał dziko, a koń cały pokryty był pianą. Bez przykrycia na głowie, czarny od błota na twarzy, odrapany, z rozdartymi rękawami, Frąc podobniejszy był do rozbójnika, który po lasach wyczekuje na kupców, wiozących towary, aniżeli do człowieka z orszaku książęcego.

Wierny sługa poznał z daleka pana swojego, a uśmiech radosny ukazał się na obliczu obu towarzyszy nocnej wycieczki.

— Myślałem, że cię już chyba dzisiaj nie ujrzę — zawołał królewicz — Bogu dzięki, że przyjechałeś, nigdy mi może tak nie byłeś potrzebny, jak teraz.

— Koń uniósł, a burza uczyniła resztę — tłómaczył się sługa, zsiadając z konia i przypadając do kolan swojego pana. — Czuję jednak, że dogonię waszą miłość i oto jestem na rozkazy.

— Dzielny z ciebie chłopak! — zaśmiał się Bolko i poklepał Frąca po ramieniu. — Idź, obmyj się trochę, wypij szklanek mleka, konia obetrzyj, ja rzucę mu wiązkę siana.

Królewicz mówił coś jeszcze, ale już szeptem do ucha sługi, który słuchając, zrazu oczami wyrażał przestach, a później pewną złość i zaciętość.

Bolko zawrócił jeszcze na chwilę do izby, a za nim wszedł Frąc. Doprowadzenie do ładu odzienia i twarzy nie trwało długo, mleko wypił duszkiem, kołacz schował na drogę i rzekł wesoło:

— Jestem gotów.

Królewicz palec położył na ustach.

— Musimy się sprawić cicho i zgrabnie, Stonóg bowiem ma siłę nielada. Kiedy krzyknę „wiązać,” podbiegniemy obaj.

— Ho, ho! już on nam nie ujdzie, byleby go tylko wyprowadzić w pole, tu bowiem w zagrodzie narobiłoby się krzyku niepotrzebnego i kto wie, jaki mógłby być z tego koniec.

— Już moja w tem głowa, że Stonóg pociągnie z nami poza opłotki tej wsi, a w szczerem polu uporamą się z nim łatwo. Siłę on ma, to prawda, ale i tchórz z niego potężny. Skoro więc zwiążemy go porządnie i przykážemy pod grozą śmierci, ażeby czekał na nas, to usłucha, a z powrotem jadąc, weźmiemy go z sobą. Dalej naprzód! Inny możeby się cofnął wobec tylu przeszkód, ale ja tego nie zrobię. Powiedziałem sobie, że dziś jeszcze w Kruszewicy będę, że Zbigniewa uratuję, więc spełnię, choćby nowe pioruny spać miały z nieba i choćby nie Stonóg już, ale nawet sam Sieciech stanął na mojej drodze. Chodź za mną!

(d. c. n.)



Ż N I W A .

Za wsią, za cichą,
 Kędy płową miedzą
 Staruszki — grusze
 Zadumane siedzą;
 Kędy co rano
 Siwe stado kroczy,
 I patrzą w niebo
 Jasne chabrów oczy;
 Za wsią, za naszą,
 Niby żywe ściany,
 Złocą się, drzemią
 Szeleszczące lany...
 Złocą się, marszczą,
 Niby wodne fale —
 Lipcowe słońce
 W nich się kąpie stale;
 Czasami wietrzyk,
 Po kłosach powionie
 I rozprzestrzeni
 Zbóż ożywcze wonie;
 To znów się zlewa
 Z pobrzękami stali,
 Która, jak taśma,
 Przebłyska w oddali...
 A jakim pole
 Weselem rozbrzmiewał
 Owadów rojem
 Ozwały się drzewa;

W wyżynach ptactwo
 Wysnuwa swe pienia;
 Cała przyroda
 W chór się jeden zmienia!
 Zdała w tym chórze
 Młode słyhać głosy:
 Pieśni, okrzyki
 I dzwonięcia koso...
 Żniwo!... Jak maki,
 Lilije, bławaty,
 Mienia się w żytach
 Barwne dziewcząt szaty;
 Idą wytrwale
 Za szmerem żniwiarzy --
 A pot im splywa
 Z ogorzałych twarzy...
 Gdzie przejdą — śladem
 Siermiężnych rycerzy
 Łan zbóż złocisty
 Potoczy się — leży!
 Migają sierpy,
 Kosy, niby węże...
 A gdzie się kosiarz
 Jeden z dragim sprzęże —
 Wnet stal zabrząknie,
 Pokłonią się zboża,
 I z lękiem pierzcha
 W las ptaszyna hoża;

Wnet piosnka zagrzmi,
 Wiatrem kołysana,
 Pobiegnie z echem:
 „Danaż moja, dana!”
 Skwar!... kipi praca...
 Padają powoli
 Dojrzałe niwy
 Z kwiatami kąciki.
 Padają; w garście
 Z szelestem się kładą
 I w złotem słońcu
 Złotą lśnią kaskadą.
 Strzęk, blask, okrzyki...
 Pot uperla czoła, —
 Nim na spoczynek
 Zmierch do wsi zawoła.
 A kiedy dzwonek
 Hen, z kościelnej wieży
 Na Anioł Pański
 Łagodnie uderzy;
 Gdy słońce, złane
 Smugami purpury,
 Zajdzie uspione
 Za sinawe chmury:
 Na żółte lany,
 Na poblądle kłosy
 Z odblaskiem gwiazdy
 Upadnie garść rosy...

Alfred Ludowski.

Pierwotny projekt pomnika Kopernika.

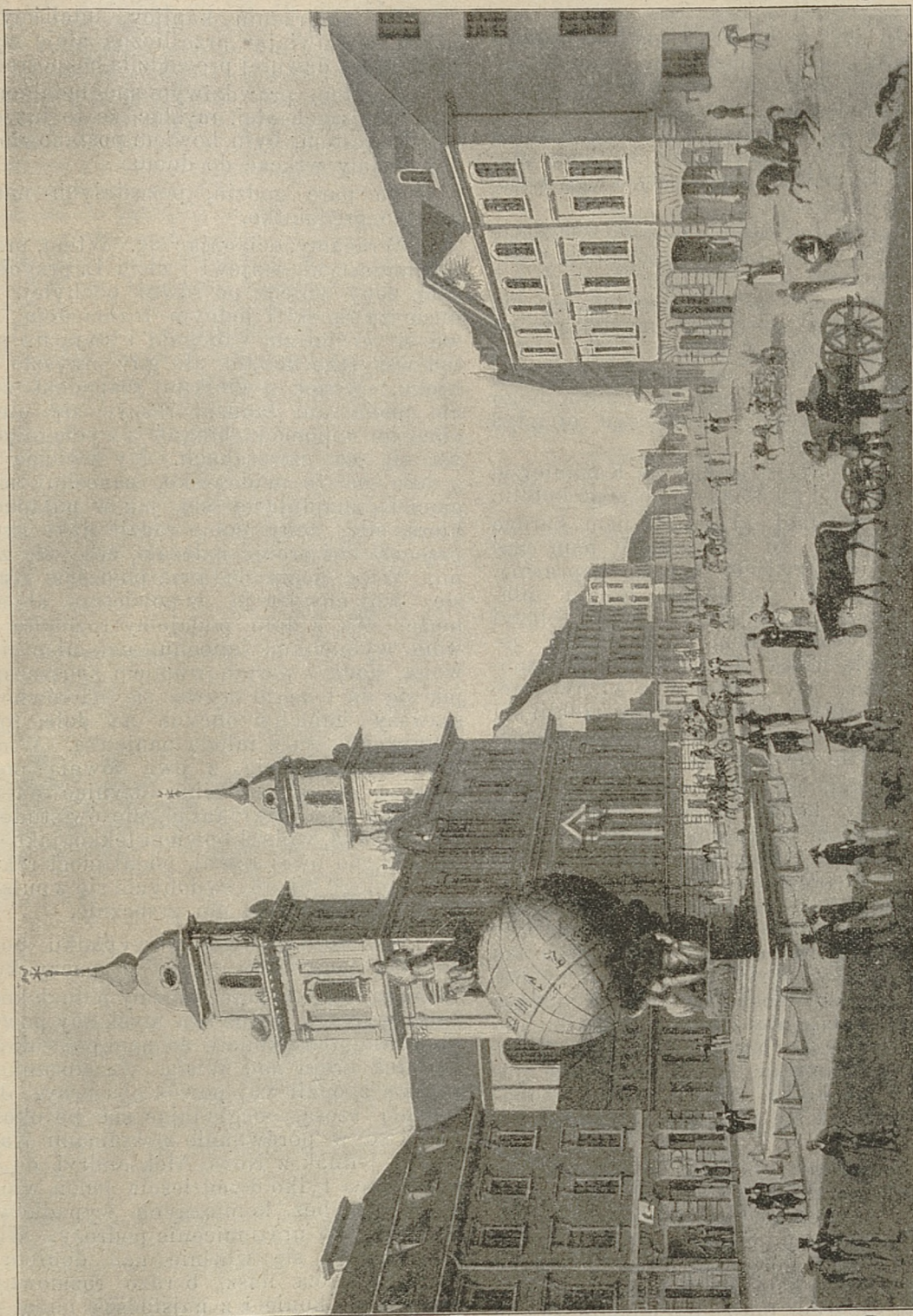
W roku przyszłym przypada 75-ta rocznica wystawienia pomnika genialnemu naszemu astronomowi w Warszawie. Wiemy wszyscy, że pomnik ten jest dłuta Thorwaldsena, słynnego rzeźbiarza duńskiego, o którym w roku zeszłym podał nam wiele szczegółów w swych „Listach z Danii,” Janek podróżnik.

Ale mało kto wie, że zanim Towarzystwo Przyjaciół Nauk zwróciło się do Thorwaldsena, kilku miejscowych artystów wykonało projekta własne, nawet wcale udatne.

Jeden z tych projektów pomysłu Zygmunta Vogla przedstawia dołączony rysunek, który jest reprodukcją akwareli tegoż artysty.

Widzimy, że w projekcie tym Vogel chciał przede wszystkim wyrazić wiekopomne odkrycie Kopernika, i dla tego postawił go na ogromnej kuli ziemskiej, przepasanej wstęgą, ze znakami Zodyaka.

Rycina ta jest tem ciekawszą, że oprócz posady przedstawia z niezmierną dokładnością widok tej części Krakowskiego Przedmieścia w r. 1824-tym.



Pierwszy projekt pomnika Kopernika.

Z wycieczek wakacyjnych po kraju.

Kazimierz i jego okolice.

(Dokończenie).

Domek gotycki jest to budynek malutki, wzniesiony czysto w stylu staro germańskim, okna w gotyckie szpiczaste łuki, gotyckie ostrołukowe wieżyczki sprawiają wrażenie czegoś bardzo osobliwego, z czem wzrok musi się najpierw oswoić, a dopiero potem można podziwiać. Wierzaj mi, kochana Marylko, iż dla samej Sybilli i domku gotyckiego warto przybyć do Nowo-Aleksandryi.

Aby obejrzeć park dokładnie, poznać wszystkie piękności ugrupowania drzew, odsłaniających się widoków na Wisłę, zacisznych ustroni, prześlicznych polanek, trzeba by kilka dni na to poświęcić, my nie mieliśmy tyle czasu, więc poprzestać musieliśmy na pobieżnym obejrzeniu bliższych pałacu części parku, pięknej, należącej do instytutu oranżeryi, jakiej piękniejszej w Warszawie nie ma, ogrodu botanicznego i pałacyku zwanego „Marynki”, należącego niegdyś do księżnej Wirtemberskiej.

Po południu mieliśmy wyjechać do Kazimierza, więc wróciliśmy wcześniej na obiad do naszego hotelu.

Obiad w sali wspólnej przeszedł nam bardzo wesoło, z tego względu, że urozmaicał nam czas grą na fortepianie, rzeczywiście bardzo poprawną, muzyk, którego właściciel tutejszego hotelu opłaca stale, aby w porze obiadowej i przy kolacji uprzyjemniał czas stołownikom. Najwięcej jednak zachwycona była nasza Janusia. Coraz wznosiła paluszek w górę, wykrzykując z zachwytem: O! mamusiu, gra! — A niech tylko wirtuoz oddalił się na chwilę od fortepianu, zaraz oglądała się niespokojnie, pytając: — gdzie się ten pan podział, co gra?

Drugim przedmiotem jej zachwyty stał się ogromny bury kot. Przy końcu obiadu wzięła swój talerzyk, na którym miała pokrajaną pieczeń i usiadła na ziemi, zaczęła karmić kota, głaszcząc go i obsypując najczulszemi piśczotami, tak długo jak kot był odwrócony od niej bokiem, bo ilekroć zwrócił się ku niej frontem, cofała się przezornie i podnosiła obie rączki do góry z wielką nieufnością. — Niebawem też ogromny mops, ujrawszy ucztę kota, uznał za stosowne zapytać się do biesiady. Janusia siedząc między niemi pilnowała, aby jedno drugiemu nie zabierało kasków, tłumacząc bardzo poważnie krzywdzicielowi w razie nadużycia: — Pieseczku! nie zjadaj tego, bo to jest dla kotka nie dla ciebie. Zobaczysz, pieseczku, przejesz się i będziesz chorował, zobaczysz!

Po obiedzie poszliśmy obejrzeć miejscową kaplicę, gdyż nie mają parafialnego kościoła, należą do parafii Włostowic. Kaplica została wzniesiona przez księżną Izabelę Czartoryską. Śliczny fronton ozdobiony filarami i rzeźbą u góry; takie same rzeźby zdobią sklepienie Sybilli, a ta okoliczność, zarówno jak owalny kształt świątyni budzi mniemanie, że oba te gmachy są dziełem jednego artysty. Wewnątrz kaplica niewielka, sprawa niezmiernie estetyczne wrażenie swą prostotą pełną wykwintu, nie znajdziesz tu żadnych złocen, a każdy szczegół, zaczawszy od ołtarza rzeźbionego z drzewa, przykuwa uwagę artystycznym wykończeniem. W kaplicy niema zupełnie ławek, tylko całą nawę zajmują niskie fotele, wybite skórą, znać, że kaplicę tę wznosiła właścicielka Nowo-Aleksandryi dla swego najbliższego oto-

czenia; rodzina książęca i znakomitsze osoby zasiadały w głównej nawie, dwór zaś mieścił się na galerji, która dokoła obiega kaplicę. I trzeba przyznać, że niema chyba w kraju naszym siedliska pańskiego, przekazanego z dawnych czasów potomności, gdzieby w najdrobniejszych szczegółach przewodniczył w tak wysokim stopniu gust estetyczny, jak w Nowo-Aleksandryi.

Po obejrzeniu kaplicy, udaliśmy się znów do parku, podziwiając prześliczną aleję wysadzaną topolami, która dawniej prowadziła bezpośrednio do pałacu.

Z zalem prawdziwym spoglądałam na olbrzymie lipy cienistych alei, myśląc, że to już ostatni raz dzisiaj tu jestem, było bowiem postanowione, że po obiedzie mamy wracać do domu.

Te parę godzin, pozostałych nam do obiadu, zbiegło prędko.

Wracamy, ociągając się. Wtem, przechodząc około gimnastyki, wujowi i cioci L. przychodzi myśl wesoła, żeby wbiec po równi pochyłej. Chwytają Janusią za rączki i jednym rozmachem, niosąc ją prawie w powietrzu, wbiegają i stają na pomoście. Dodał wszystko dobrze, ale gdy przyszło zejść, ani rusz kroku. Wujek z wielkim rozpędem zbiegł jeszcze, ale ciocia, ani Janusia ruszyć się nie mogą. Wuj chce im dopomóc, biegnie z wyciągniętą ręką i... zsuwa się na czworakach. My z ciocią Miłą patrząc z dołu na to widowisko, zanosimy się od śmiechu, ciocia L. znajdującej się, jak w pułapce, śmiech odbiera siły, żeby sobie radzić jako skutecznie. Ale przecież coś zrobić należało, żeby się znaleźć na ziemi. Więc ciocia siada na pomoście i spuszcza Janusią, wuj chwyta ją w powietrzu, ale sama zejść nie może. My, z dołu, podajemy rozmaite rady, przerywane wybuchami śmiechu, nakoniec ciocia zdesperowana, siada z postanowieniem spuszczenia się na dół, jak się da i nagle zrywa się na równe nogi, postyszawszy śmiechy obcych na dole: to jakiś student z uniwersytetu z młodą panienką. Widzieli oni z daleka całe zajście z ową równią pochyłą i oboje zanoszą się od śmiechu, czyniąc daremne wysiłki, aby nam tego nie okazać, ale ów student stał się wybawcą cioci, wbiegł bowiem lekko, jako szczupły i wysmukły, po owej równi, podał cioci rękę i w ten sposób pomógł jej do wydobycia się z pułapki, za co też wujek podziękował mu grzecznie.

Bez żadnego więcej wypadku powróciliśmy do hotelu i zaczęliśmy myśleć o spoczynku.

Nazajutrz nie pojechaliśmy jednak koleją, gdyż wujkowi przyszła szczęśliwa myśl, aby powrócić do Iwangrodu najętymi końmi, co nam pozwoli znów obejrzeć kawałek kraju nad Wisłą. Za stosunkowo niewielką zapłatę zgodził wuj powóz obszerny. Jechaliśmy doskonałą szosą, rozglądając się po okolicy, która nie może iść w porównanie z okoliceami Kazimierza. I ta krótkka jednak z Nowo Aleksandryi do Iwangrodu, bo wynosząca tylko dwadzieścia jeden wiorst droga, nie obyła się bez komicznych wypadków, pożądaných zresztą, jako urozmaicenie podróży. Kiedy rozmawiamy, unosząc się właśnie nad dobrem utrzymaniem drogi, woźnica nasz, bardzo rozmowny i uprzejmy, zatrzymuje konie i z najśłodszą miną odzywa się do nas: — a teraz niech państwo będą łaskawi wysiadać! A to po co? — pytamy zdziwieni. — Bo tu stał się taki wypadek na wiosnę, że Wisła wyrwała całkowicie kawał szosy, więc musimy objechać, a tu piach straszny, konie państwa wszystkich nie uciągną.

Spojrzymy: rzeczywiście, koła zapadły w piasek po same sprychy. Wysiadamy tedy wśród śmiechu i żartów. Ale co tu zrobić z Janusią, która na dobre zasnęła. — No, dziecko może zostać — tłumaczy

woźnica — ono nie wiele zaważy. Ba, zostać? a jak się przebudzi i ujrzy sama, to się przelęknie. Postanowiliśmy tedy zostawić w powozie na straży przy Janusi ciotkę Wańdzię, a sami wysiadamy. Tymczasem pomimo tego ulżenia ciężaru biedne konie ani ruszyć nie mogą; woźnica targa lejcami na wszystkie strony, wywija batem i dobywając wszelkie zasoby głosu z piersi, krzyzczeć przeraźliwie: wio! wio! wio! Nic nie pomaga. — Co tu robić? — zapytujemy się z niepokojem. Więc wujek zaczyna pchać, wehikuł z tyłu, co sił starczy, woźnica ciągnie za koło z przodu, znów rozpoczyna się wołanie: wio! wio! wio! Przebudzona tym krzykiem Janusia roztwiera oczki i pyta przestraszona, nie widząc nikogo oprócz ciotki Wańdzi obok siebie: — a *cio* to? — Lecz widząc nas wszystkich rozśmieszonych całym tem zdarzeniem, uspokaja się natychmiast.

Powóz tymczasem jak stał w miejscu, tak i stoi. Ja wysiądę — woła ciotka Wańdzia. — Jania wysiądzie też! — woła nasze bobo, wyciągając rączki, aby ją wysadzić. — Co wy tam obie zaważycie — mówi lekceważąco wujek. — Ale i to ulżenie ciężaru nic nie pomogło. Długo jeszcze mocować się musiały konie, wujek i woźnica, zanim powóz ruszył z miejsca.

Idziemy tedy, brnąc po piasku i żartując z siebie wzajemnie, Janusia chce nam koniecznie dotrzymać kroku, ale i jej nóżki lgną w piasku, biorę ją zatem na ręce i tak ciągniemy całą kawalkatą, dopóki nie dostaliśmy się w końcu do szosy. Teraz jechaliśmy już bez wypadku wałem ochronnym Wisły, doskonale utrzymanym, następnie przeprawiliśmy się promem pod Iwangrodem przez Wieprz, a w Iwangrodzie wsiedliśmy do wagonu.

E. Jerlicz.



(Dalszy ciąg).

Tak panie — odezwał się Rafał; — ja już wyzdrowiałem i chcę teraz, aby moje dzieci odzyskały czas stracony.

— Bardzo się z tego cieszę i Janek jest tak zdolny, że nauka z prawa mu się należy.

— Janku — zwrócił się Brinker do syna — czy zapisałeś to nazwisko?

— Tak ojcz.

— Musisz dziś jeszcze pójść do doktora.

— Czy to tak pilna sprawa? — spytał Piotr. — Janek nie brał udziału w wyścigach z powodu zmęczenia.

— Odpocząłem już — bąknął Janek.

Piotr podejrzliwie na niego popatrzał. Czyżby Janek odstąpił mu dobrowolnie i podstępnie pierwszeństwa w wyścigach?

— Ale, byłbym zapomniał — odezwał się nagle. — Tu jest pudełko na łyżwy, które Hania zostawiła w namiocie.

— Widzisz Haniu, jaka byłaś niegrzeczna — zgromiła ją matka. Pewno nie podziękowałaś nawet panu van Gleck.

— Ależ owszem — zaśmiał się Piotr — a jeżeli śpieszyła się, to tylko dla tego, aby prędzej rodzicom nagrodę pokazać. Zasłużyła na nią.

Pudełko było wykwintnie zrobione z czerwonego safianu z ozdobami srebrnymi. Na niem wypisano złotem literami: *Hani Brinkerównie*. W środku wyłożone było aksamitem a na boku widniał adres fabrykanta.

Hania podziękowała Piotrowi i zaczęła oglądać pudełko.

— O! to te łyżwy wyrabia pan Birmingham — zawołała.

— Birmingham jest nazwą miasta w Anglii a nie fabrykanta — odezwał się Ludwik. — Jego nazwisko jest wypisane tak małemi literami, że wyczytać go nie mogę.

— Pokaż mi pudełko — rzekł Piotr. — Widzę wyraźnie dwie pierwsze litery imienia i nazwiska: T. i H.

— I ja to widzę, ale dalsze litery?

— Cierpliwości.

Piotr zbliżył się do lampy.

— Tomasz Higgs — przeczytał po chwili.

Ale cóż się stało Brinkerowi? Rafał i Janek zerwali się z miejsca, a w oczach ich malowało się niezmiernie zdziwienie. Hania klaskała w dłonie, a pani domu biegała po pokoju, wołając:

— Janku, gdzie twoja czapka! Ach! doktor, doktor! Nie trać jednej chwili!

— Birmingham — Tomasz Higgs! Na pewno wyczytałeś pan to nazwisko na pudełku? — pytał Janek. — Na pewno! Ach! jakież jestem szczęśliwy!

W mgnieniu oka włożył łyżwy, pochwycił czapkę i wybiegł z pokoju.

Goście patrzyli na siebie ze zdumieniem.

Cała rodzina Brinkerów widocznie jest umysłowo chora.

— Moi panicze, ten Tomasz Higgs jest bardzo ważną osobistością..

— Aha! — kiwał głową Piotr.

— Jest to przyjaciel, o którym myśleliśmy, że dawno umarł. jeżeli on jest właśnie tym fabrykantem, no, to chwała Bogu, żyje!

— Zaręczam, że żyje — odezwał się Ben. — Przed dwoma tygodniami kupowałem u niego te łyżwy. Nie wygląda wcale na Anglika. Wielki z niego oryginał; fach swój zna doskonale. Widuję go często; jest przystojny, zawsze smutny, szczególniej prześlizczne ma oczy. Wyrabia teki, portfele, portmonetki, i mnóstwo skórzanych drobiazgów.

Brinker drżał ze wzruszenia, a jego żona miała pełne oczy łez.

Doktor Bockman zjawił się tegoż wieczoru w chacie, przywożąc z sobą Janka.

Dziesięć razy jeszcze musiał mu Brinker opowiedzieć całą historję.

— Szkoda, że młodzi panowie już odeszli — mówił Rafał. — Był z nimi Anglik, który zna Tomasza Higgsa i może mógłby dać panu doktorowi potrzebne objaśnienia. To nazwisko tak mi nagle stanęło w myśli, nie wiem zkąd, jak gdyby mnie kto młotem w pamięć uderzył.

Doktor wkrótce wyszedł uszczęśliwiony.

— Także koncept — wołał z radością — aby przybrać nazwisko angielskie! Oj! ten Laurenty, to moje nieszczęście!

Był wszakże człowiek bardzo niezadowolony z wyprawy wieczornej doktora.

— Oto — jego woźnica. Popędzał też i bił konie, jak mu się podobało, ale doktor zatopiony w swem szczęściu nie zważał na to wcale.

YXI.

Zniknięcie Tomasza Higgsa. — Szczęście.

Tomasz Higgs i jego fabryka były niewyczerpanym źródłem plotek dla kumoszek z Birminghamu.

Skąd pochodził właściciel? co to był za człowiek? Na te pytania nie było odpowiedzi. Odznaczał się dobrem wychowaniem, chociaż wszyscy wiedzieli, że z terminatora wyrósł na właściciela fabryki.

W mieście zjawiał się przed dziesięciu laty. Miał wtedy lat osiemnaście; nauczył się swego fachu, zyskał zaufanie szefa, został jego współnikiem, a po tegoż śmierci samodzielnym panem jego warsztatów.

Tyle o nim wiedzano, ale to nie zaspakajało oczywiście ogólnej ciekawości. Niektórzy utrzymywali, że jest to mruk, który do nikogo nie zagada, inni przeczyli, twierdząc, że umie bardzo przyjemnie rozmawiać, jeśli ma ku temu ochotę, lecz że jest coś obcego w jego akcencie.

Narodowość Higgsa — oto była największa zagadka. Nazwisko miał angielskie, to prawda, więc ojciec jego był Anglikiem, ale jego matka? Gdyby była Amerykanką, syn posiadałby niewątpliwie choć jeden rys twarzy amerykańskiej, lecz tego dopatrzeć w nim nie było można; jeśli była Niemką, umiałby choć kilka wyrazów niemieckich, a on nie znał ani jednego; Francuzka może? Ależ w takim razie Tomasz Higgs byłby weselszym; wiadomo, że Francuz nigdy do głębi duszy smutnym być nie potrafi; może była Holenderką? Zdawało się jednak, że on nie a nie o Holandyi nie wie, chociaż chętnie słuchał, gdy mu o niej mówiono.

Skądkolwiek przybył — było pewnem, że nigdy listów z zagranicy nie odbierał.

Człowiek tak opuszczony, tak osamotniony nie mógł zasługiwać na wielki szacunek...

Chociaż dumną miał minę, kto wie, jakie grzechy ciążyły mu na sumieniu?

Jakież więc zdumienie zapanowało w mieście, kiedy nagle dowiedziano się, że Tomasz Higgs po odebraniu listu, zdaje się z zagranicy, naprzód zbladł jak płótno, a potem wpadł do warsztatu, rzucił kilka poleceń majstrom i wyjechał z miasta, nie kiwnąwszy nawet nikomu głową. Wyjechał, zabierając z sobą tylko ręczną walizkę. Pani Scrubs, u której mieszkał, wpadła w rozpacz nieledwie. Wyjechał nie sprzedając jej nawet na dzień przedtem; zapłacił wprawdzie wszystko co do grosza, zostawił nawet w pokoju nową parę butów — wszakże żaden z jej lokatorów nie wyjeżdżał dotąd tak nagle i bez żadnej znanej ludzkiej przyczyny. Pani Scrubs nie liczyła na wdzięczność ludzką, jednakże postępowanie Tomasza Higgsa przejęło ją żalem. Udała się też do swej przyjaciółki, aby opowiedzieć jej rzecz całą, co

przyniosło pewną ulgę strapionemu sercu. Przyjaciółka wnet innym powtórzyła usłyszaną wiadomość i przez parę dni całe Birmingham mówiło jedynie o tajemniczym wyjeździe tajemniczego fabrykanta. Szukano o nim wieści nawet w gazetach w działach „z sądów” i „wypadki”, lecz nie znaleziono tam nic ciekawego lub dotyczącego sprawy Higgsa.

(d. n.)

S Z A R A D A.

E. L.

Pierwsze zaimek żeński i z trzecim też będzie Zaimkiem, w tym rodzaju używanym wszędzie. Lecz odrzuciwszy *pierwsze*, samo *drugie trzecie*, Jako przyrząd blaszany po kuchniach znajdziecie, Gdzie zwykle dawno znane miewa przeznaczenie. *Trzecie z drugim* to małe lecz przykre cierpienie. *Wszystko* wraz jest gatunkiem znanego nasienia, Lub kobietą dawnego, dzikiego plemienia. Co przez liczne napady i bitwy najkrwawsze, Straszmem widmem przeszłości zostało na zawsze.

ZADANIE KONIKOWE.

uł. Naddnieprzańskie Hajduczki dla Maryńci M.

Te	i	wró	ta	je	po	śla	łecz
od	wi	kra	pię	mi	nym	rad	ku
ła	cił	ja	oka	rzu	wi	ży	my
do	nie	mi	po	knę	bym	cił	tał
cie	tał	łą	kał	tylko	gdziem	czło	ni
ce	dzie	kwie	zgrzy	gdzie	a	świe	rzad
kra	po	stwa	znał	pła	biegł	gdy	wilk
cień	an	je	jak	nie	po	ko	cie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Arytmogryfo: 1) Oko. 2) Koran. 3) Mak. 4) Pasek. 5) Lis. 6) Konar. 7) Osa. 8) Bekas. 9) Nil — środkowe litery tych wyrazów składają nazwisko Krasiński.

Szarady: A — kra.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

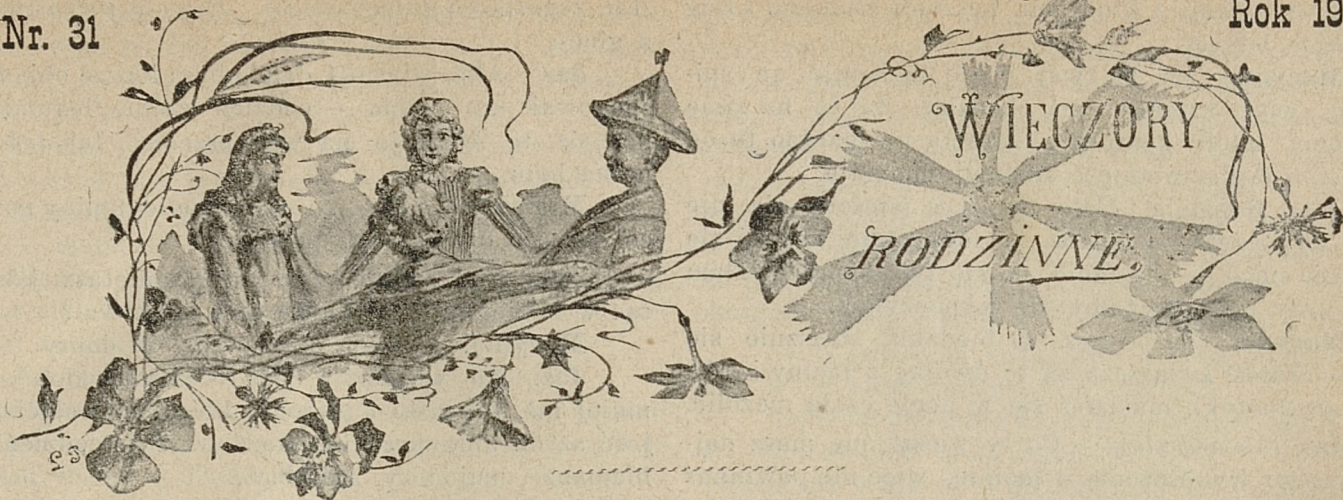
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wezwanie, wiersz (z ryc.) — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trampeżyńskiego. — Żniwa, wiersz przez Alfreda Ludowskiego (z ryc.) — Pierwszy projekt pomnika Kopernika (z ryc.) — Z wycieczek wakacyjnych po kraju (dokończenie). — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Łamigłównki i rozwiązania. —

Dodatek: Druciarz, wiersz przez A. L. (z ryc.) — Jaś gospodynią, komedyjka w dwóch odsłonach. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marrene-Morzowską.



Druciarz.

Brudny, ubogi, z długimi włosy,
W zdartej kapocie, czasami bosy,
Kijek ma w ręku blachą okuty,
A zaś u pasa miedziane druty.

Od rana ze wsi do wsi zachodzi;
Znają go wszyscy: starzy i młodzi;
Słyszą go wszyscy, jak wykrzykuje:
„Garnki drutuje! garnki drutuje!”...

Siądzie na przyźbie, przed domem w bramie,
I co się stłucze, pęknie lub złamie,
Wszystko mu w ręku w całość się składa,
Aż się przygląda gospośnia rada!

A czasem w dźwięty ciekawej tłumie
Niejedną bajkę powiedzieć umie:
Dużo bo słyszał, chodząc po świecie;
Wiedział co skwary, mroźne zamiecie.

Dla paru groszy, dla kęsa chleba
Z dalekiej ziemi iść mu potrzeba.
Znają go wszyscy, tego druciarza,
Jak ze skorupki rzecz całą stwarza!

A. L.



Jaś gospodynią.*)

Komedyjka w dwóch odsłonach.

OSOBY:

Jaś, Marynia, (rodzeństwo), ciocia Andzia, — Feliś, Zochna, (dzieci z sąsiedztwa), Kasia, (służąca), Michałek, (chłopiec kredensowy).

Odsłona I.

Scena I.

Jaś, Marynia.

Jaś. Nie wiesz, pojedziemy dziś do Gór, czy nie pojedziemy?

Marynia. Podobno nie — bo ciocia ma jakąś robotę w piwnicy, z masłem czy z ogórkami.

Jaś. Ach, mój Boże, jaka ta ciocia męcząca z tem

swojem gospodarstwem, to strach! Ze wszystkiego robi takie historye, jakby już było nie wiem co. Żeby marną beczkę ogórków nakwasić, to pół dnia hałasu, bieraniny. Nim mama przyjedzie, to ciocia nas zamęczy.

Marynia (*śmiejąc się*) chyba prędzej siebie niż nas — bo cóż ciebie to ma męczyć, że ciocia ogórki kwasi.

Jaś. A właśnie, że mnie męczy i nudzi, bo przez te gospodarskie roboty ciocia nigdy nie może zabić się — zresztą, ja, jako mężczyzna, lubię w domu spokój, systematyczność, ciszę. A tu od rana do wieczora rwetes, urwanie głowy. Nawet wyspać się porządnie nie można, bo ciocia od świtu kręci się pod

* Komedyjka ta nadaje się do odegrania w teatrze amatorskim. W razie braku dostatecznej ilości osób, zwracamy uwagę, że ciocię i Zochnę może grać jedna paniątka, a Michałka i Felka jeden chłopczyk.

mojemi drzwiami z kluczami, koszami, słoikami i Bóg wie czem jeszcze.

Marynia. No, bo twój pokój sąsiaduje ze spiżarnią, więc którędyż ma chodzić? Za to na zimę będziemy mieli kompoty. Zresztą nie bardzo to od świtu, bo ciocia wstaje o siódmej godzinie.

Jaś. Bagatela! Całe życie w mieście nic nie robi, wypoczęta, wyspana, to naturalnie, że jej się spać nie chce — ale mnie, co się tyle napracowałam przez cały rok, należałoby się wypoczynek.

Marynia (*śmieje się*). O biedaku! strasznie się napracowałeś! zwłaszcza za tę dwójkę z łaciny i trójkę z arytmetyki, musiałeś się w pocie czoła mozolić.

Jaś. (*niezadowolony*). Co ty wiesz! nie masz najmniejszego wyobrażenia o łacinie, więc nie powinnaś się nawet odzywać w tej kwestyi.

Marynia. (*wesoło*). A ty nie masz najmniejszego wyobrażenia o kwaszeniu ogórków, więc znowu w tej kwestyi nie powinieneś się odzywać.

Jaś. Także dobrałaś porównanie: łacina i kwaszenie ogórków! Przecie nad starożytnymi językami najmędrsi ludzie, doktorowie filozofii ślęczą — a ogórki ukwasić każda Kasia potrafi! (*śmieje się*).

Marynia. No tak... prawda — ale i to trzeba umieć. Tybyś naprzykład nie potrafił, choć umiesz po łacinie... conajmniej: terra est...

Jaś. (*wrażony*). Nie baw się w dowcipną! A co do ogórków i tym podobnych rzeczy, to ci zaręczam, że gdybym się tylko wziął do tego, potrafiłbym lepiej od ciebie i cioci — a nawet od Teofili.

Marynia. Paradny jesteś! ciekawam, kto cię uczył gospodarstwa?

Jaś. Nikt mnie nie uczył — ale do tego potrzeba tylko trochę logiki, której właśnie wam, kobietom, najczęściej brakuje. Dlatego to zawsze z kobiecym gospodarstwem tyle awantur a tak mało pożytku. Generał, gdy pułkiem żołnierzy komenderuje, nie robi z tego takiej hecy, jak ciocia, gdy mustruje Kasię i Marysię.

Marynia (*dotknięta*). Nie wiem, co nazywasz „heca”, ale to wiem, że ciocia jest bardzo dobra, że tu przyjechała do nas na czas nieobecności rodziców, zajmuje się wszystkim, opiekuje się nami...

Jaś (*z naciskiem*). Tobą — bo ja przecie takiej opieki nie potrzebuję. Jeszczebym sam mógł się ciocią w danym razie zaopiekować.

Marynia (*śmiejąc się*). O! wielki człowiek!..

Jaś (*zudzierając głowę*). Zawsze mężczyzna co sobie inaczej potrafi dać radę w życiu niż wy.

Marynia (*żartobliwie*). Nawet z kwaszeniem ogórków?

Jaś. Ma się rozumieć, że i z tem. Zobaczyła byś, gdybym ja na jeden dzień objął rządy, jakiby tu był ład i spokój. Każdy musiałby swoje zrobić na godzinę — nie! na minutę! — Wszystkoby z góry obmyślił, zadysponował, krótko a węzłowato: tak a tak ma być — a kto nie słucha, fora ze dwora! i wszystkoby szło jak w zegarku.

Marynia (*śmiejąc się*). Oj! doprawdy aż mi żal, że nie mogę się przekonać, jakieby to było to łaciń-

skie zegarkowe gospodarstwo. Pewnie pomarlibyśmy z głodu.

Jaś. Aha, właśnie! dalekobym lepsze obiady dysponował niż ciocia — codzień zimne leguminy — bo cóż to kosztuje na wsi? przecie i tak lodownia pełna lodu.

Marynia. Tylko, że na zimne leguminy coś więcej jeszcze oprócz lodu potrzeba.

Jaś. Eh, prawie nic: Nie pamiętasz, jak nam raz w zimie śnieg z konfiturami smakował?

Marynia. Prawda, że bardzo był dobry.

Jaś. No widzisz! a cóż to kosztowało? daleko mniej niż te kluski i pierogi, które nam ciocia każe jeść aż do uprzykrzenia. Ja dawałbym codzień same blamanże, majonezy, galarety...

Marynia. Tak — ale czyby Kasia to wszystko zrobić potrafiła?

Jaś. A od czegoż kucharska książka, w której są na wszystko najdokładniejsze przepisy? Przecież nieraz ją przeglądałem i aż mnie smak zbierał na te wyborności, jakie tam są opisane.

Marynia. Fe, wstydź się! to brzydko być łakomym.

Scena II.

Ciż i ciocia.

Ciocia (*mloda, miła panienka; wbiega wesoło z listem w ręku*). Ciescie się, ciescie! dobra nowina.

Jaś. Pojedziemy do Górki?

Ciocia. Nie — ale jeszcze coś lepszego: za dwa dni mamusia będzie już tutaj.

Dzieci (*razem*). Mamusia? co za radość!

Ciocia. Właśnie dostałam list; oboje rodzice są już od wczoraj w Lublinie.

Jaś. A dla czegoż aż za dwa dni przyjadą?

Ciocia. Bo mają ważne sprawunki. Tatko kupuje nową młocarnię i zapewne jeszcze parę dni dłużej będzie musiał zabawić, a mamusia wybiera tapety do salonu i obicie na meble...

Marynia. To dobrze — bo już takie podarte. Ach, żeby mamusia wybrała co niebieskiego! a może mamusia przysłała próbki?

Ciocia. Nie, tylko właśnie prosi, żebym jutro na parę godzin dojechała do Lublina. Wybieram się pierwszym rannym pociągiem, a wrócę o ósmej wieczorem. Myślę, że tak, na jeden dzień, można was zostawić samych, pod opieką Teofili.

Jaś (*z godnością*). Zdaje mi się, moja ciociu, że o to nie ma kwestyi. Właściwie i Teofila całkiem tu zbyteczna.

Ciocia (*śmiejąc się*). No trudno — nie wyrzucimy jej na jutro z domu. Zresztą, któżby wam gospodarował?

Jaś (*skwapliwie*). A Marynia, ciociu; przecież Marynia to już taka słuszna panienka, że mogłaby się choć przez jeden dzień zająć gospodarstwem.

Ciocia. Zapewne, żeby mogła, gdyby zaszła tego potrzeba — ale że tak nie jest...

Jaś (*żywo*). Ale moja ciociu, ja myślę, że daleko lepiej powierzyć kluczyki Maryni aniżeli Teofili.

Teofila już taka stara, będzie się męczyła w upał — a Maryni to bardzo zdrowo; Teofila nieraz zapomina się tak, że klucze przy spiżarni zostawi. Pamięta ciocia, jak to było na Wielkanoc?

Ciocia. Prawda, ale jakoś nie wiem, czy Maniusi można pod tym względem więcej zaufać.

Marynia. Ja przecież zawsze wszystko zamykam — mamusia mi bardzo często klucze powierza.

Ciocia. A więc i ja ci dam ten dowód zaufania; ciekawam bardzo, jak też pójdzie gospodarstwo pod twoim zarządem.

Jaś (energicznie). Z pewnością doskonale.

Ciocia. Coś Janek za to bardziej ręczy aniżeli ty, Maryniu. Może nie czujesz się na siłach podjęcia tak ważnych obowiązków?

Marynia (obojętnie). Owszem ciociu, dlaczego nie!

Ciocia. A więc układ zrobiony. Na jutro Maniusia mianowana ministrem spraw wewnętrznych. Ale pamiętaj, już o ósmej rano być na stanowisku, bo ja wyjeżdżam na kolej i muszę oddać komuś kluczyki.

Marynia. Dobrze, ciociu.

Ciocia. Pójdę zatem przygotować się do jutrzejszej podróży (wychodzi).

(d. c. n.)

D A R Y .

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Robert klęczał, bo namiot był za niski, żeby mógł się w nim wyprostować, ale nawet na klęczkach był tak ogromny, że mógł patrzeć z góry na innych.

— Ale jestem strasznie głodny — dodał. — Chciałbym dostać coś do zjedzenia...

— Słuchaj Beka! — zawołał Bill — przynieś mu co do zjedzenia, tylko coś dobrego, pamiętaj!

Potem nastąpiły szepty, z których dzieci dosłyszały tylko: „biało i czarno,” „opieczetować i ostemplować zaraz jutro rano.”

Wreszcie kobieta przyniosła jedzenie — chleb i ser tylko — ale dla olbrzymiego a głodnego Roberta wydało się to przysmakiem — a Bill poszedł porostawiać strażę nackoło namiotu, któreby podniosły alarm w razie gdyby Robert próbował się wymknąć.

— Jak gdybyśmy nie byli ucziwi — mówiła z oburzeniem Antea, gdy nareszcie zrozumiała, co znaczą te straż.

A potem zaczęło się dziwne i niezwykajne popołudnie.

Bill znał swoje rzemiosło. W mgnieniu oka posprzątał małe widoczki i szkła, przez które patrzy się na nie, tak, że wydają się prawdziwe, i światła, które je oświetlają. Kurtyna — stary dywan w czerwone i czarne desenie — została przeciągnięta przez środek namiotu. Robert został za zasłoną, a Bill stanął na stole przed wejściem do namiotu i rozpoczął

przemowę. Była to nielada przemowa! Zaczął od tego, że olbrzym, którego ma szczęście przedstawić publiczności dzisiejszego dnia, jest najstarszym synem cesarza z San Francisco, i nieszczęśliwie zachołchawszy się w księżniczce z wysp Fidzi, musiał porzucić ojczyznę i schronić się do Anglii — do kraju swobody, gdzie wolność jest udziałem każdego, bez względu na wzrost. Zakończył mowę oznajmieniem, że pierwsi dwudziestu widzowie, którzy wejdą do namiotu, mogą obejrzyć olbrzymia za trzy pensy,

— A potem — dodał Bill — cena pójdzie w górę. Więc teraz najlepsza sposobność!

Jakiś młody człowiek z narzeczoną wstąpili pierwsi. Młodzieniec miał minę książęcą — nie będzie uważał na wydatek — nie idzie mu o pieniądze. Jego panna chce widzieć olbrzymia? Dobrze! zobaczy olbrzymia, choćby nawet obejrzenie kosztowało trzy pensy od osoby, kiedy inne rozrywki są po pensie.

Kłapa namiotu uchyliła się — para narzeczonych weszła. W tej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk dziewczyny. Bill uśmiechnął się.

— To się udało! — szepnęła do żony.

Był to rzeczywiście wspaniały hołd, oddany wdziękowi Roberta. Dziewczyna wyszła blada i drżąca, a coraz większy tłum zbierał się w okół namiotu.

— Jak on wygląda? — pytał jakiś woźny.

— O! strasznie! nie dałby pan wiary — odpowiedziała dziewczyna. — Wielki jak stodoła a dziki, aż dreszcze biorą człowieka... Za nic w świecie nie chciałabym ominąć takiego widowiska...

Dzika mina Roberta pochodziła z tego, że walczyć musiał ze śmiechem. Ale chęć śmiechu opuściła go wkrótce, a zanim słońce zaszło, miał większą ochotę do płaczu, niż do śmiechu — i więcej chęci do snu, niż do czegokolwiek innego. Ludzie wchodzili przez całe popołudnie to pojedynczo, to po dwoje i troje, a Robert musiał sciskać za rękę tych, którzy tego żądali, a wszyscy szarpali go, dawali mu przyjacielskie kulaki, klepali i głaskali, chcąc się przekonać, czy naprawdę jest żywy i prawdziwy.

Rodzeństwo jego siedziało na ławce, czuwało, czekało i nudziło się potężnie. Dzieciom zdawało się, że to najcięższy sposób zarabiania pieniędzy, jaki można tylko wymyślić. I to za piętnaście szylingów tylko! Bill zebrał już cztery razy tyle, bo wieść o wielkoludzie rozeszła się po jarmarku, i przekupnie na wozach i państwo w powozach dążyli ze wszystkich stron. Jakiś pan ze szkiełkiem w oku, z wielką żółtą różą w dziurce od guzika, ofiarował Robertowi szeptem dziesięć funtów tygodniowo, jeżeli zgodzi się wystąpić w królewskim Akwarium.

A Robert musiał odpowiedzieć: „nie.”

— Nie mogę — mówił z żalem. — Na nic się nie zda przyrzekać to, czego nie można uczynić.

— Ach! biedny chłopcze. — Pewnie cię złapali na jakąś umowę kilkoletnią, jak przypuszczam? Masz tu mój adres. Jak się umowa skończy, przyjdź do mnie.

— Przyjdę — jeżeli będę takiego wzrostu, jak w tej chwili — powiedział szczerze Robert.

— Jeżeli jeszcze urośniesz, tem lepiej! — odrzekł pan z różą.

Kiedy odszedł, Robert skinął na Cyryla.

— Powiedz, że muszę i chcę odpocząć. I chcę się napić herbaty...

Podano mu herbatę i przypięto na ścianie namiotu arkusz papieru. Wypisane było na nim:

„Przedstawienie przerwane na pół godziny, ponieważ olbrzym pije herbatę.”

Dzieci zaczęły się naradzać.

— Jak ja się stąd wydostanę? — pytał Robert. — Myślałem o tem całe popołudnie.

— Wyjdiesz po zachodzie słońca, kiedy już powrócisz do dawnego wzrostu. Nie mogą nam nic zrobić za to...

Robert otworzył oczy szeroko.

— Jakto! Oni nas pozabijają, jak zobaczą, że powróciłem do dawnej postaci! — zawołał. — Nie, trzeba wynaleźć inny sposób. Musimy być sami w chwili zachodu słońca.

— Już wiem — powiedział żywo Cyryl.

Poszedł do wejścia, przed którym siedział Bill, paląc glinianą fajkę i rozmawiając półgłosem z Bekką. Cyryl słyszał jak mówił:

— To tak jakbyśmy już mieli fortunę w kieszeni.

— Słuchajcie! — zaczął Cyryl. — Możecie za chwilę wpuścić widzów. On już kończy pić herbatę. Ale w chwili gdy słońce zachodzi, musi być sam. W tej porze dnia jest bardzo... dziwny, a jeżeli go co podrażni, nie można za nic odpowiadać...

— No! i cóż to takiego z nim się dzieje? — za pytał Bill.

(d. c. n.)

SZARADA.

uł. Słowiczek.

Wprost *pierwsza* jest literą w greckim alfabecie;
Wspak *drugie*, w kartach na pewno znajdziecie;
Wszystko, błyszczy jak brylant — a takich tysiące
Znajduje się o wschodzie słońeczka na łące.

ŁAMIGŁÓWKA.

uł. gen. Kuroki.

Kropki i gwiazdki zastąpić literami, ażeby litery utworzonych wyrazów oznaczone gwiazdkami, złożyły nazwisko wodza i marszałka japońskiego.

Znaczenie wyrazów:

- • * • • 1) Łodygi zboża.
- • * • • 2) Śmieszna skacząca figurka.
- • * • • 3) Miasto w Czechach.
- • * • • 4) Owad.
- • * • • 5) Roślina.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go

Zadania konikowego: Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Figla: W kierunku dzioba.



Mama. Tadzio, czemu włożyłeś pończoszkę na lewą stronę?
Tadzio. Bo na prawej jest dziura...

W domu po egzaminie.

— Ośle jeden! toś ty nie wiedział, jak długo trwała wojna trzydziestoletnia?

Tadzio milczy.

-- No uważaj. Ile ma lat chłopiec 12 letni?

-- Dwanaście.

— A widzisz. Ile zatem trwała trzydziestoletnia wojna?

-- Dwa... dwa... dwanaście!..

W szkółce wiejskiej.

Powiedz mi jaki jest najlepszy czas do zrywania owoców?

— Kiedy Bryś jest na uwiezi.

Skrzynka do listów.

Świteziance. Wiersz twój „do ziemi rodzinnej” sprawia takie wrażenie, jakby kto lubiący muzykę i umiejący grać trochę, siadł do bardzo lichego fortepianu. Widać, że czujesz i zdajesz sobie sprawę ze swego uczucia, ale język, ale zwroty, w które się te uczucia i myśli wylewają w formie wiersza — są jeszcze bardzo nieudolne. Kształć język, wzbogacaj zasób wyrazów i słów, inaczej tego co czujesz choćby najsilniej, w formie artystycznej nigdy nie wyrazisz.

Pierwiosnkowi z Galicyi. „Wieczory” wysyłamy, za dodatek nic nam się nie należy.

Dziękujemy **Błękitnej Chmurce** za list z pierwszymi wrażeniami o „Wieczorach”. Mamy nadzieję, że za powrotem Jaskółki zawiązesz z nią korespondencję. Prosimy o łamigłówkę trudniejszą, oryginalniejszą, podobną drukowaliśmy już wielokrotnie.

Podolance posyłamy zaginiony numer, łamigłówkę wydrukujemy z kolei, mamy ich bowiem duży zapas wcześniej nadesłanych.

Mazur z nad Wisły, Staś D., Poczłowy Gołąb i Mania Z nadesłali dobre rozwiązania z ostatnich numerów.

Od Redakcyi.

Do dzisiejszego Nru dołączamy jako **premium bezpłatne za lipiec** — wzory rozmaitych robót ręcznych dla chłopców i pańienek.